

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9

róg Rynku głównego

**poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.**

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

20

Talerz z kawałkiem mięsa był jeszcze na tem miejscu, na którym go postawiła. To dopiero przypomniało biednemu dziecku, że jeszcze nie jadła śniadania. Za późno już jednak było siadać do jedzenia, a zresztą nie mogłaby przełknąć ani jednego kawałka. Podniosła talerzyk i schowała go w swym pokoiku. Potem szybko zbiegła na dół.

Wszyscy byli już przy pracy, gdy weszła do pralni. Pani Lambert nie zrobiła jej jednak żadnej uwagi. Zazwyczaj bowiem pierwsza stawiała do pracy, a przytem była grzeczna, posłuszna i stawiała się bardzo zreczną pracownicą. Od dłuższego już czasu pralnia nie miała tak dobrej prasowaczki. Koło czwartej godziny właścicielka napełniła koszyk bielizną, przypięła do niego rachunek i poleciła Ludwice i Julii, by zaniósły go klientce. Drogę do przebycia miały dość długą. Obie prasowaczki dopiero przed piątą wróciły z pustym koszem. Pani Lambert wzięła się znowu do napełniania go bielizną.

— No, dosyć tego! — zaprotestowała Julia swym ochryplym, krzykliwym głosem. — Cóż to, pani się zdaje, żeśmy się ubrały w siedmiomilowe buty.

— Jeżeli nie pójdziecie zaraz — odpowiedziała właścicielka — to kiedy wróćcie? Już noc się zbliża!

— Więc cóż z tego. Jestem zmordowana! Muszę, do diabła, choć tchu trochę złapać. Konie omnibusowe mają więcej wygody, niż ja!

I siadła, by odpocząć, lecz w swej opryskliwości nie dała spokoju Ludwice, która stała.

— A ty nie chcesz usiąść, lecz pamiętaj, że ja ciebie nie będę niosła.

Na to wezwanie usiadła i Ludwika. Przez kilka chwil nie było nic innego słyszeć, jak tylko szmer żelazek, prowadzonych po bieliźnie. Pani Lambert po przygotowaniu koszyka wzięła się także do prasowania. Nagle Helena zanuciła dla rozweselenia wszystkich jakąś piosenkę, lecz w tej chwili przerwała jej Julia.

— Chodźmy! — rzekła wstając, widocznie już wypoczęta.

Pani Lambert podeszła do koszyka z miną poważną i surową.

— Jest to bielizna pani Radoux... — oznajmiła.

— Ach! — wyrwało się Ludwice.

Przyrzekła sobie nie wchodzić nigdy do mieszkania notaryuszowej.

„Zatrzymam się o kilka kroków przed domem — myślała — i usiądę na ławce pod pretekstem, że jestem zmęczona... Jeżeli będzie potrzeba, dam cokolwiek Julii, a ona już sama doniesie bieliznę...“

Tymczasem właścicielka przestrzegała dalej:

— Zalecam wam jak największą grzeczność... Niech zachowanie wasze zatrzyma pamięć o postępku Ewy...

— Niech pani się nie boi... — odparła Julia swym andrusowskim akcentem.

Wzięła koszyk z jednej strony, Ludwika z drugiej i obie prasowaczki wyszły szybko z rozgrzanego silnie pokoju do ciemnego i zimnego korytarza. Przebiegły szybko dziedziniec i weszły w drugą sień, wychodzącą na ulicę. W przejściu rzuciły okiem do pokoju stróżki i ujrzały, jak matka Lardroule siedzi z butelką w ręku i pełnym kieliszkiem. Julia swem jedynym prawem okiem przeczytała z daleka etykietę na butelce:

— Malaga! I nam należałoby się nią orzeźwić w tej naszej rozpalonej dziurze.

Gdy tylko obydwie prasowaczki znalazły się na ulicy Laugier, natychmiast z restauracji, leżącej na przeciwko, wyszedł jakiś niski, otyły, o podejrzanej minie mężczyzna. Był to drugi z agentów, przeznaczonych do śledzenia Ludwici. Jednocześnie z pobliza stojącej dorożki wysiadał elegancki mężczyzna. Prasowaczki, trzymając kosz za uszy, zeszły na środek ulicy i ruszyły w stronę zewnętrznego bulwaru. Agent, śledzący je w odległości dwudziestu kroków, szedł po prawym chodniku. Mężczyzna z dorożki, trzymając się w tej samej prawie odległości, udał się za nimi lewym chodnikiem. Na placu Champerret obydwaj mężczyźni z obawy, by im w tłumie przechodniów i powozów nie zniknęły prasowaczki, zbliżyli się do nich, przyspieszając kroki.

Przez pewien czas szli tak prawie razem, po wyjściu jednak na opustoszały i słabo oświetlony bulwar Bineau, nieznany mężczyzna i agent puścili naprzód młode dziewczęta. Nie dochodząc jednak ulicy, przy której mieszkali państwo Radoux, mężczyzna i agent nagle się zatrzymali. Prasowaczki zatrzymały się również, stawiając kosz z bielizną na ziemi.

— Gdzieś tam — rzekła Ludwika do swej towarzyszki — muszę odpocząć. I siadła na ławce.

Biedne dziecko mówiło prawdę, mimo iż ułożyło to sobie przed wyjściem z pralni. Jeżeli klientka, do której szła, nie należała do dawnych jej znajomych, to z pewnością nie zatrzymywałaby się w drodze. Dla spełnienia obowiązku odbyłaby kurs dwa razy tak długi. Była jednak w istocie zmęczona. Niespodziewana wizyta Piotra i rozmowa z nim, bardzo ją zdenerwowały. A przytem od samego rana była na czczo. Czula się tak osłabioną, iż chwilami kręciło się jej w głowie. Jeżeliby stojąc teraz zamknęła oczy, to z pewnością upadłaby na ulicę.

— Rzeczywiście, nie świetnie wyglądasz — stwierdziła Julia.

— Nie wiem, czy będę miała siły dojść aż do domu pani Radoux — rzekła znowu młoda panna.

— A co będzie z koszem? Będziemy w nim spały na ulicy.

— Nie mogłabyś zanieść bielizny sama?

— Nieś sama! Dobrze sobie! Ładne masz pomysły! Może myślisz, że jestem herkulesem i sama dam sobie radę z takim ciężarem!

— Chętnie bym ci co dała...

— Naprzykład co? Niech się naprzód dowiem.

— Franka.

— Franeczka? Doskonale. Odpoczywaj tu, moja pociecho, a ja się sama prędko uwinę.

Młoda panna wyjęła z portmonetki franka i wręczyła go Julii, która dalej paplała:

— Nie wstydz się, moja mała. Jeżeli co dodasz, to przyniosę ci czegoś na pokrzepienie sił, za dwa susy pieczonych maronów i bułkę z serem.

— Dziękuję... Nic nie potrzebuję. Będę cię tu oczekiwała.

— Dobrze! Wkrótce wrócę.

I Julia, biorąc pod pachę koszyk, poszła z nim lekko, jakby nie niosła żadnego ciężaru. Ta młoda, siedemnastoletnia dziewczyna, wychudzona i brzydka, nie mająca na kościach nic oprócz skóry, odznaczała się jednak dziwną, prawdziwie końską siłą i wytrzymałością.

Niebo było zachmurzone. Ludwika, siedząc na ławce, czuła zimno; ogarniało ją nieprzewidywane pragnienie snu. Ta chęć snu miała w sobie wiele wspólnego z myślą o śmierci. Młoda panna marzyła o tem, by nie teraz nie myśleć, nie nie czuć. Umysł jej, wyczerpany cierpieniem, odmawiał posłuszeństwa, a stan moralny działał i na fizyczny, organizm jej bowiem pozbawiony już był sił i wszelkiej odporności. Znała już to pragnienie unicestwie-

nia się. Doświadczyla go w dzień odejścia od państwa de Lagunan. Dotknięta w swej miłości i dumie, zrozpaczona, że nie może pojąć tego, co się z nią stało, chciała zapomnieć, że żyje, pragnęła tylko zapomnienia wszystkiego, pogrążenia się w śnie, choćby ten sen miał być wieczny. Obecnie jeszcze raz wszystko w niej, myśl i ciało zostało pokonane. Znajdowała się w stanie najzupełniejszego wyczerpania. Tajemnica, którą ciągle była otoczona, przerażała ją, a jeszcze więcej denerwowała.

— Czy to prawda, że tę sprawę chcą wyjaśnić?... Czy im to się uda?... Wydawało jej się to coraz bardziej zagmatwanem i nieprzeniknionem. Karol Turner, ten nieznany zły duch, prześladował ją ciągle swą dziwną nienawiścią. Po złamaniu jej życia nastawał teraz na życie Piotra. Na samą myśl tę czuła, jak w głowie wszystko się jej kręci. Zdało się jej, że głowa jej pęka, że myśli te rozsada jej czaszkę. By nie oszaleć, starała się myśleć o czemś innym, lecz było to dla niej niemożliwością.

— Proszę pani!...

Podsłoczyła i obróciła się. Ktoś mówił do niej. Ktoś siedział za nią z drugiej strony ławki. Została jak oszolomiona, poznając pana de Lagunan. Był to w istocie baron, który śledził ją ciągle od ulicy Laugier. Czekał na nią przez dwie godziny w dorożce, nie wiedząc o której wychodzi, zdecydowany był przytem nie opuszczać swego posterunku, choćby do północy, jeżeliby tego zaszła potrzeba. Nie mógł iść do niej ani do pralni, ani do mieszkania. Trzeba było urządzić wszystko tak, aby wyszło, iż spotyka ją niby przypadkowo. Zaczęła z nią rozmowę i rzucić jej taką przynętę, na którą złapie się bezwarunkowo.

— Do diabła! Nie można tutaj chybić! — rozmyślał „neurastenik“. — Jeżeli jej nie opanuję, jeżeli to dziecko będzie mi się opierało, to ładnie się złapię. Zapłacę za swą niezręczność samochodem! Ciężko byłoby mi jechać na nim!

Twarz jego, zmarszczona już cokolwiek, by utrzymać w oku monokl, zmarszczyła się jeszcze więcej na myśl, co by powiedziała pani de Lagunan, gdyby musiała kupić podobną drobnostkę Karolowi Turnerowi.

— Ech! To Karol Turner będzie mnie ją kupował — dodał w myśli, by nabrać otuchy. — Przecież ta mała nie będzie mi stawiała żadnych trudności! Prasowaczka!

Raul de Lagunan był przystojnym mężczyzną i miał szczęście do kobiet. Miewał dawniej i teraz jeszcze miał dużo powodzenia w wielkim świecie. Jakże mógł wątpić o zdobyciu biednej pracownicy? Teraz, gdy był sam na sam z Ludwiką, w cieniu drzew i zmroku wieczornego, był prawie pewien swego zwycięstwa.

Przez całą drogę idąc za młodą panną, rozmyślał nad sposobem, w jakiby odsunąć od niej jej towarzyszkę. Nie mając jednak wcale sprytu, nie wymyślił. Lecz los mu przyszedł z pomocą, gdyż obie dziewczyny same się rozłączyły. Z cylindrem więc w ręku, z rozwartem szeroko okiem zaszklonym monoklem, udał zdziwienie.

— Więc się nie omyliłem! Pani rzeczywiście jest panną Dubois.

Tymczasem Julia doszła już do domu państwa Radoux i dzwoniła do drzwi. Otworzył jej służący.

— Ach! — rzekł. — Pracza!

I stając na schodach, zawołał:

— Maryo! To pracza!

— Niech idzie! — odpowiedział głos kobiety. — Tylko prędko!

Julia poszła. Pokojówka, przechylona przez poręcz, niecierpliwiła się.

— Pani już czeka. Dlaczego tak późno?

Młoda prasowaczka nic nie odpowiedziała. Po wejściu na pierwsze piętro poszła za pokojówką do pokoju pani Radoux. Na widok koszyka, notaryusz-